

Alpinista w Kielcach – to prawie paradoksalne. A jednak... Dobrze znani są już, także naszym czytelnikom, Teresa i Zbigniew Rubinowscy, alpinistyczne małżeństwo, mające znaczne sukcesy w tej dziedzinie. Owo wspinanie się na najwyższe szczyty świata pozostanie jednak dla nas, chyba na zawsze, zajęciem równie zadziwiającym co i egzotycznym, dostępnym tylko niektórym ludziom. Ze szczególnymi zamiłowaniem.

Trzeci kielecki alpinista, przedstawiciel młodszej generacji wspinaczy, Jacek Jopowicz mówi o chodzeniu po górach jako o sporcie. Maże to efekt sportowych tradycji tej rodziny, bo przecież tato Mieczysław Jopowicz kiedyś biegał po boisku za piłką, a potem przez wiele lat był cenionym w kraju sędzią piłkarskim. Jacek ma jednak konkretne argumenty na sportowy charakter górskiej wspinaczki:

— Polscy alpinści są pod opieką Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki, który dotuje ich działalność, nagradza za sukcesy sportowymi odznaczeniami. A ja jestem trenerem II klasy właśnie w tej dziedzinie sportu. Tytuł mojej dyplomowej pracy trenerskiej jest na wskroś sportowy — „Rozwój techniki i taktyki zdobywania jaskiń w historii eksploracji jaskiń polskich”.

To prawdziwy sport nie tylko ze względu na formalne związki z organizacją polskiego ruchu sportowego. Wszystko co robimy ma charakter prawdziwie sportowy. Zaczyna się przecież od małych wejść na łatwe szczyty, czy do łatwo dostępnych jaskiń. Potem podejmuje się wyprawy coraz trudniejsze, pod okiem doświadczonych instruktorów, dla zdobycia coraz większych umiejętności. Po osiągnięciu odpowiedniego stopnia umiejętności, można się starać o udział w wyprawie zagranicznej. Trzeba jednak na to długo pracować.

Zacząłem zajmować się tym sportem dość dawno, prawie przed dziesięć laty. A przed pięciu znalazłem się po raz pierwszy w wyprawie zagranicznej do Francji, gdzie zdobywaliśmy jaskinie, a także i szczyty górskie ze słynnym Mont Blanc (4.803 m). Potem byłem na wyprawie do Austrii, w 1974 roku miałem szczęście być uczestnikiem wyprawy do jaskiń Iranu i Libanu, gdzie przy okazji ustanowiłem — można chyba tak powiedzieć — rekord życiowy wysokości wchodząc na szczyt 5.671 metrów.

W minionym roku uczestniczyłem w wyprawie, którą śmiało mogę określać mianem największego mojego osiągnięcia alpinistycznego. Ekipa Klubu Wysokogórskiego z Krakowa wybrała się w góry Hindukuszu Wysokiego, na pograniczu Afganistanu i Pakistanu. 13 osób, w tym 2 kobiety, wybrało się tam na sześć tygodni z bardzo sportowym celem, którym było trawersowanie Langarów, pięciu szczytów noszących nazwę Langar z jakimś tam przymiotnikiem, mających wysokość od 6.750 do 7.070 m. A dla alpinisty międzynarodowa klasa zaczyna się od zdobycia „siedmiotyśięcznika”. Mam taki na koncie — jest to Langar Hind o wysokości 7.061 m.

W tej samej wyprawie miałem możliwość kierowania trzyosobowym zespołem wykonującym inne zadania.



Languta-e-Barfi, w lewo Szachaur

Fot. M. Kaimus

ŚWIAT PONAD ŚWIATEM

Mieczysław Kaleta

nie, jakim było dokonanie trudnego wejścia na szczyt Languta e Barfi. Niestety, musiałem podjąć decyzję o rezygnacji ze zdobywania szczytu, gdy mieliśmy już tylko sto kilkadziesiąt metrów do przebycia. Szybko nadchodziło „za-

tamanie” pogody. A z tym w górach nie ma żartów. Nie wolno podejmować ryzyka, zwłaszcza gdy odpowiada się jeszcze za innych ludzi. A do tego jeden z mojej trójki zaczął coraz bardziej chorować na chorobę wysokościową.



Langar Hind (7061 m n.p.m.)

Fot. M. Kaimus

Myślę, że była to jedynie słuszna decyzja...

Długie, żmudne przygotowania kondycyjne, znacznie bardziej intensywne od ćwiczeń wielu sportowców wyczynowych w tradycyjnych dziedzinach sportu, potem wielotygodniowe wysiłki na granicy wytrzymałości i możliwości ludzkiego organizmu, dla uzyskania celu, którym jest wejście na szczyt jeszcze nie zdobyty, bądź też pokonanie drogi trudnej, którą tylko nieliczni przejść potrafia. Te pięć majestatycznie rysujących się na niebie langarowych szczytów tak fascynowało krakowskich alpinistów. To było coś, to był wyczyn...

Szmaciankę kopujemy za młodo wszyscy. A jak się zaczyna uprawianie alpinizmu?

— Jakieś szczególne zainteresowanie, a nawet zafascynowanie górami rodzi się wcześniej, czasem jeszcze w dziecięcych latach. Jeszcze jako uczeń kieleckiego Liceum im. Żeromskiego bardzo interesowałem się wszystkim, co z górami było związane. Wielu jest ludzi, którzy urlop spędzają zawsze w górach. Jest to coś takiego, co można — może zbyt banalnie — określić mianem „miłości do gór”. A potem najczęściej decyduje przypadek. W Krakowie studencki los zetknął mnie ze znanym specjalistą eksploracji jaskiń i alpinizmu, Janem Baryłą. A kiedy człowiek raz zasmakuje, zawsze już będzie marzył o chodzeniu w góry.

Odrzynamy się niejako od naszego codziennego ziemskiego świata i przez wiele, wiele dni przebywamy tam, gdzie inna jest przyroda i urok tych części ziemskiego globu. Przystają wtedy istnieć wszystkie nasze sprawy, które pozostały tysiące kilometrów dalej i tysiące metrów niżej. Żyjemy innym życiem, w którym nasze zajęcia, stawa czy przedmioty, nabierają innych wymiarów. Stwierdzenie braku zapalek jest drobiazgiem. Ale nie w górach. Tu ów brak może oznaczać nawet niepowodzenie wyprawy. Tu ludzi muszą łączyć nie tylko asekuracyjne liny, ale wszystko co robią. Trzeba rozumieć się niemal bez słów. Wielkie jest przecież ryzyko tego sportu. Śmierci zagłada się w oczy częściej, niż w jakimkolwiek innym miejscu na tym globie. A jednak nikt o tym nie myśli. Boimy się — to oczywiście — ale ten lęk nie jest do nas nieustannie przyklejony. Nie pamiętamy o nim...

Z wielką niecierpliwością wyczekuje się na dobrą pogodę, która umożliwi ruszenie dalej i wyżej. Cel widzi się często niemal przez cały czas dążenia doń. To wspinałoby doping.

Ktoś kiedyś powiedział o nas, będących tam wysoko, że stawimy własny, osobny świat żyjący ponad codziennym, zwykłym światem. I to jest chyba najpiękniejsze określenie alpinizmu.